

ROZDZIAŁ TRZECI

Po wizycie u lekarza pojechałam do mieszkania mamy.

– Cześć, dzióbek – powiedziała mama.

– Okazuje się, że jestem w ósmym tygodniu – powiedziałam, siadając ociężale na kanapie.

Mama długo mi się przyglądała.

– Chcesz zatrzymać to dziecko, prawda? – zapytała.

– Nie wiem – odparłam.

Poszła do kuchni. Usłyszałam trzask i syk, kiedy otworzyła piwo. Wróciła do pokoju.

– Ładne paznokcie – zauważyłam.

Musiała je niedawno zrobić. Były żółte, w niemal radioaktywnym odcieniu.

– Jeśli zdecydujesz się je urodzić – powiedziała – nie będę go wychowywać. Jest twoje.

– Wiem.

Poczułam się szczerze zdumiona. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby dać moje dziecko mamie.

– Do diabła – zaklęła, chodząc z piwem w tę i z powrotem przed telewizorem.

– Mamo, wszystko w porządku – pocieszyłam ją. – Poradzę sobie.

– Po prostu... Już myślałam, że tak dobrze mi poszło! Zdałaś do college'u! Miałaś być kimś!

– Kim miałam być? – zapytałam.

Nagle stanął mi przed oczami obraz mamy nakładającej na mnie swoje wyobrażenie o tym, kim jestem – jak akrylowy tips na paznokieć, wielką maskę-skorupę na moją prawdziwą twarz.

– Wiesz, o czym mówię. Miałas robić karierę i, no wiesz, różne rzeczy!

– Jakie rzeczy?

– Nie wiem – powiedziała Shyanne. – Cokolwiek, o czym marzyłaś!

Milczałam. Mark, Becca, moja mama – wszyscy ciągle mi wmawiali, że mam wiele różnych możliwości, a tymczasem mnie nigdy nie udało się wykoncypować, na czym miałyby one polegać. W liceum dokładnie dwa razy rozmawiałam z doradcą zawodowym, panem Riccim. Za pierwszym razem powiedział, że mogę ubiegać się o stypendia oraz pomoc finansową i dał mi różne formularze do wypełnienia. Za drugim zdawał się w ogóle mnie nie pamiętać i stwierdził, że moją jedyną nadzieją jest przeniesienie się na UC. Zapisalam się do Fullerton College, ale przez cały pierwszy rok nie dostałam się na żaden kurs, który dałby mi punkty konieczne do awansu na uniwersytet – wszystkie miejsca zapełniały się niemal natychmiast. Tak więc nabijałam sobie w zasadzie nic nieznaczające punkty za przedmioty humanistyczne, które nie mogły mi pomóc w przeniesieniu się dokądkolwiek. Wszyscy mi powtarzali, że tak wiele stracę, rodząc dziecko, ale, szczerze mówiąc, czułam, że nie mam czego stracić.

– Boję się powiedzieć o tym Kenny'emu – dalej mówiła Shyanne, znowu podejmując swój nerwowy spacer.

– O Boże, niby dlaczego miałabyś się bać powiedzieć Kenny'emu?

– On jest religijny! – syknęła.

Chodząc tak w tę i z powrotem, miała w sobie coś z we-
lociraptora.

– No to... chyba cieszyłby się, że nie poddałam się abor-
cji, prawda?

– Nie, będzie wstrząśnięty, że w ogóle się puściłaś! Nasto-
letnia mama? No nie, Margo, o aborcji na pewno byśmy mu
nie powiedziały!

– Muszę być z tobą szczerą, mamó. Jakoś nie umiem się
zmusić, żeby przejmować się tym, co Kenny o mnie myśli.
Poza tym, kiedy dziecko się urodzi, będę już miała dwa-
dzieścia lat.

– Może się okazać, że on wkrótce zostanie twoim ojczy-
mem!

Wydawało mi się to niezbyt prawdopodobne, lecz wyra-
żenie tej opinii byłoby podłe.

– Kenny jest świetny – rzuciła. – Kenny jest niesamowity.

– Okej – mruknęłam. – Tak.

– Będzie dobrze – powiedziała mama. – Spróbuję zas-
gerować, że Mark cię wykorzystał. To nie była twoja wina.

Nie planowałam poderwać się z kanapy, ale stało się,
a potem, kiedy już to zrobiłam, nie wiedziałam, co dalej.

– Mark mnie nie wykorzystał – powiedziałam. – To nie
tak.

– Oczywiście, że tak ci się zdaje. Nie zgodziłabyś się na
nic, gdybyś czuła, że on cię wykorzystuje. Ale on jest doros-
łym mężczyzną, kochanie. Pewnych rzeczy nie zrozumiesz,
dopóki nie przybędzie ci lat.

Byłam taka wściekła, że czułam to aż w podeszwach stóp,
a ponadto naprawdę chciało mi się siusiu, więc poszłam do
toalety. Moja mama miała w łazience wielki plakat z wieżą

Eiffła i małe francuskie mydła – całe pomieszczenie było utrzymane w paryskim stylu. Kiedy myłam ręce tym mydłem, zaciskając na nim kurczowo dłoń, jakbym obie-rała ziemniak, i kipiąc złością, myślałam o tym, jak głupio wygląda ten wystrój i jaka wkurzająca jest moja mama, lecz po chwili zdałam sobie sprawę, że ona pewnie rozpaczli-wie pragnie polecieć do Paryża i prawdopodobnie nigdy tego nie zrobi. Popatrzyłam w lustro i nagle uzmysłowiłam sobie, że wyglądam dokładnie tak jak ona – podróbka Shyanne z oczami rozstawionymi odrobinę za szeroko. Obie wyglą-dałyśmy jak słodkie idiotki o ładnych buziach; patrząc na nasze twarze, można było odnieść wrażenie, że w środku jesteśmy kompletnie puste.

Kiedy wróciłam do pokoju, mama siedziała na kanapie, ale jakoś tak bezwładnie, jakby się na niej rozlała – jakby uszło z niej powietrze. Położyłam się obok z głową na jej kolanach.

– Kiedy zaszłam z tobą w ciążę, bardzo się bałam – po-wiedziała, z roztargnieniem głaszcząc mnie po włosach.

– Dlaczego zdecydowałaś się mnie urodzić? – zapytałam.

Nigdy tego nie rozumiałam. Nie widziałam w tym sensu. Ich romans był tylko przygodą na jedną noc – mama ledwo znała mojego ojca. Poznali się w restauracji Hooters*, gdzie wówczas pracowała. Nie wiedziała nawet, jak on się na-prawdę nazywa – kojarzyła jedynie jego pseudonim z ringu, Jinx** (nadany mu po pierwszej walce, podczas której jego przeciwnik padł martwy, jeszcze zanim Jinx go dotknął).

* Hooters – amerykańska sieć restauracji słynąca z tego, że jej obsłu-gę stanowią skąpo ubrane kelnerki.

** *jinx* (ang.) – pech, pechowiec, coś przynoszącego pecha.

– Nie wiedziałam, że jest żonaty – twierdziła. – Nie nosił obrączki. Żaden z zapaśników jej nie nosi, bo przez obrączkę można stracić palec, ale wtedy nie miałam o tym pojęcia. Nasze kontakty nabrały rumieńców i pomyślałam, że może... Nie wiem. Może... no wiesz. Czułam, że to moje przeznaczenie. Że on jest tym jedynym.

Fakt, że jej nadzieja była taka krucha, a naiwność taka oczywista, był trudny do zniesienia. Czym prędzej pchnęłam temat dalej.

– Jaki był tata? Teraz wydaje się taki poważny, że aż trudno go sobie wyobrazić w tamtych czasach. A tym bardziej podbitego.

– Och, możesz mi wierzyć, że twój tata potrafił dotrzymać kroku największym pijakom. Nie wiem. Miał ciemne oczy, takie jakby roziskrzzone. Przyjmował tyle sterydów, że jego plecy zrobiły się ogromne, a do tego nigdy się nie opalał. Był taki wielki i błady, że wyglądał jak mlecznobiały byk.

– Mamo, pytałam o jego charakter!

– Właśnie do tego przechodziłam! Był dżentelmenem. Pewnie dlatego, że pochodził z Kanady. Zawsze miły, ale na ringu wcielał się w heela*, więc nie każdy go znał z tej dobrej strony. Umiał słuchać, lubił trzymać się z boku i pozwalał mówić innym.

– Wyobrażam to sobie – powiedziałam.

Nie znałam mojego ojca w czasach, kiedy uprawiał wrestling. Kiedy zaczęłam pamiętać rzeczy, które układały się we wspomnienia, jemu już zdążyły wyskoczyć dwa dyski pod-

* heel (ang. *heel*) – w wrestlingu zawodnik występujący w roli antagonisty, który często łamie zasady i stosuje nieczyste zagrania. Jego przeciwieństwem jest odgrywający rolę praworządnego bohatera fejs (ang. *face*).

czas walk w Japonii, został więc menedżerem pary wrestlerów, Murdera i Mayhema. Pełnił tę funkcję w tradycyjnym sensie, umawiając dla nich walki – stanowili rzadkość, gdyż występując w Monday Night Wars, nie współpracowali na stałe z organizatorami. Ale jako menedżer reprezentował ich także w telewizji, ponieważ Murder i Mayhem nie grzeszyli talentem do zabawiania fanów rozmową, Jinx zaś był geniuszem w dziedzinie promocji. Domyśliłam się, że po swojej kontuzji przestał używać sterydów, bo stracił dużo masy i z upływem czasu zdawał się coraz szczuplejszy. Ogromna, lecz chuda jak szkielet sylwetka w połączeniu z ogoloną głową upodabniały go do bezwłosego kota.

– Jak wy... no, wiesz... jak mu o tym powiedziałaś?

Wyobrażałam to sobie zaskakująco rzadko.

– Hm, pewnego razu około pierwszej w nocy przyszedł z kolegami do restauracji, wszyscy pijani jak bela. Kiedy skończyłam zmianę, zabrał mnie do swojego pokoju hotelowego i tam go o tym poinformowałam. Sprawiał wrażenie naprawdę szczęśliwego. To było dziwne. Cały czas się uśmiechał i dotykał mojego brzucha. Tamtej nocy powiedział mi, że ma żonę, i to tak jakby... złamało mi serce. Płakałam, a on powiedział: „Naprawdę się cieszę, że cię poznałem”. A do mnie nagle dotarło, że ja też się cieszę. Więc po prostu staraliśmy się wyciągnąć jak najwięcej korzyści z tego, na co mogliśmy sobie pozwolić. Spotykaliśmy się, kiedy przyjeżdżał do miasta. Wiedziałam, że musi odkładać dużo pieniędzy dla żony i tamtych – zawsze to wiedziałam. Ale naprawdę pomagał mi, kiedy mógł. Wierzę, że się starał. Nie sądzę, żebyś mogła liczyć na to samo ze strony Marka. I pewnie wielu uznałoby, że głupio zrobiłam, ale wiesz, ja go kochałam.

Wiedziałam. To było oczywiste – przeraźliwie oczywiste. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do miasta, mama go rozpieszczała, co chwila proponując a to kanapkę, a to szklankę wody. Toczyłyśmy ze sobą walkę w metalowej klatce o jego uwagę, którą ja niemal zawsze przegrywałam. Kilka razy zdarzyło mi się wygrać, a Jinx olśnił mnie laserowym promieniem swojej miłości, lecz wywołało to ból innego rodzaju. Raz przyjechał do miasta w dniu moich urodzin i zabrał mnie do smażalni steków. Miałam trzynaście lat i co prawda absolutnie nie znosiłam steków, no ale jednak zaprosił mnie na tę wykwintną kolację. Kiedy jednak wróciłam do domu, Shyanne była nawet nie tyle zła z tego powodu, ile załamana. Tym razem wynajął pokój w hotelu, a nie nocował w naszym domu. Czasami tak robił i nigdy nie wiedziałam dlaczego ani co to oznaczało.

– Zdecydowałaś się mnie urodzić – powiedziałam.

Słyszałam ciche tykanie bąbelków w jej piwie.

– Tak. Ale później jeszcze kilka razy podejmowałam inną decyzję.

Milczałam. Nie wiedziałam. To jednak miało sens.

– Nie sądzisz, że wszystko dzieje się z określonego powodu? – zapytałam.

– Nie wiem – odparła. – Ale sądzę, że po prostu boisz się przyznać, iż chcesz zniszczyć sobie życie.

– Myślisz, że dziecko zniszczy mi życie? – zapytałam.

Pogłaskała mnie po głowie.

– Tak, dzióbek, na pewno. Ale czasami człowiek tylko tego pragnie. Zniszczyć sobie życie.

Wiedziałam, że mówi o decyzji, którą podjęła, kiedy sama była ze mną w ciąży. O życiu z Jinxem w układzie

należącym do szarej strefy, o słodko-gorzkich konotacjach szukania szczęścia u boku męża innej kobiety. O tym, jak witałam go krzykiem i nieustającym trajkotaniem, kiedy stawał w drzwiach, i zanim jeszcze odłożył torbę, domagałam się, żeby zrobił mi suples*, a także o tym, jak sama, wycierając ręce w ściereczkę, wychodziła z kuchni, gdzie próbowała gotować jakieś dziwaczne dania w stylu retro, zapiekanekę z tuńczyka z dodatkiem rodzynek czy pasztet polany keczupem. Mówiła do mnie ostrym tonem, żebym przestała go osaczać, a kiedy nalegałam na opowieści o szkole, proponowała mu piwo. Po kilku dniach wyjeżdżał i w mieszkaniu robiło się tak cicho, że nie wiedziałyśmy, jak ze sobą rozmawiać – jakbyśmy wstydyliły się siebie i swojego zachowania.

– Zrujnowałam ci życie – powiedziałam.

To nie było pytanie. Chciałam jedynie dać jej do zrozumienia, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Pięknie mi je zrujnowałaś, dzióbek.

Nie odpowiadałam, tylko dalej leżałam na kanapie z głową na jej kolanach. Głaskała mnie po włosach i drapała lekko po głowie swoimi akrylowymi paznokciami.

Ale zdarzało się też, że śmiałyśmy się razem, zającąc się popcornem, podrzucała mi do pudełka z drugim śniadaniem liściki napisane jej pełnym zawijasów pismem i udawała, że napisał je kot. Nasze ręce zdawały się idealnie zsynchronizowane ze sobą, kiedy składałyśmy prześcieradła z gumką. Pewnego dnia spędziłyśmy bite osiem godzin w drodze do Wielkiego Kanionu tylko po to, żeby na niego chwilę popa-

* suples – popularny rzut ofensywny we wrestlingu polegający na podniesieniu przeciwnika i przerzuceniu go za siebie na matę.

trzeć, kupić paczkę cukierków Sour Patch Kids i wrócić do domu, bo następnego dnia musiałam iść do szkoły.

Gdyby Shyanne nie miała mnie, to co by miała?

– Mam wyznaczony termin aborcji – powiedziałam. Mama milczała. – Ale chyba nie dam rady. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła tam pójść.

– No cóż – odrzekła. – Będziesz musiała poczekać, aż ten termin nadejdzie, i wtedy zdecydujesz, czy chcesz iść czy nie.

– Okej.

Staralam się nie okazywać, jak bardzo cieszy mnie fakt, iż nie forsuje pomysłu, bym to zrobiła. Jakbym udawała chorobę, żeby nie iść do szkoły.

Tego samego dnia od razu po wyjściu z domu zadzwoniłam do kliniki i odwołałam zabieg. Nie umiałabym wytłumaczyć dlaczego. To był zły pomysł. Nie miałam ku temu dobrych powodów. I na pewno nie postąpiłam tak po to, żeby być dobrym człowiekiem. Niezupełnie. Także nie dlatego, że byłam zakochana w Marku. Po prostu chciałam tego dziecka. Chciałam go bardziej niż cegokolwiek innego.

Wycięłam z paska najlepsze zdjęcia USG i trzymałam je na stoliku nocnym. Mogłam gapić się na nie całymi godzinami. Obraz na nich był taki brzydki, taki niewystarczający, że wywoływał frustrację, bo nie dawał mi niczego, czego mogłabym się chwycić, żadnej wskazówki pozwalającej wyobrazić sobie, kim będzie moje dziecko. Moje ciało produkowało coś w tajemnicy, a ja musiałam podglądać swoje własne organy wewnętrzne za pomocą tych ziarnistych, czarno-białych zdjęć. Ale cierpliwie czekałam, pełna wiary i ufności.

Po upływie szesnastu tygodni aborcja była już niemożliwa z prawnego punktu widzenia. Margo napisała do Marka, by

go poinformować, że nie pozbędzie się dziecka. Nie chciała ryzykować, że uda mu się ją od tego odwieść. Nie odpisał. Spodziewała się tyrady albo pełnego paniki telefonu. Czekala kilka dni na reakcję, która na pewno musiała nastąpić. Jeszcze dwa tygodnie po wysłaniu e-maila oczekiwała jakiegoś ruchu, próby nawiązania kontaktu. Nie doczekała się.

Przestraszyła się tego, jak bardzo ją zabolalo, że została zignorowana. Jak bardzo, być może, wmawiała sobie, że jej decyzja o urodzeniu dziecka zmusi go do pojęcia jakichś działań. Nie sądziła, żeby to był główny powód, dla którego podjęła taką decyzję, ale jednocześnie nie było to bez znaczenia. Nie chciała bynajmniej, żeby Mark teraz zgrywał męża i tatusia – tego była pewna. Gdyby nagle stwierdził: „Okej, moje małżeństwo i tak jest fikcją, rozwiodę się, weźmiemy ślub i razem wychowamy nasze dziecko”, byłaby przerażona. Nie zależało jej nawet na regularnym widywaniu się z nim. Jednak zawsze wyraźnie podkreślał jedno – że Margo jest ważna. Że jest cudowna. Ale gdyby naprawdę była ważna i cudowna, czy traktowałby ją w taki sposób?

Kiedy Margo powiedziała Jinxowi, że nie pozbędzie się dziecka, ten zareagował dużym luzem.

– Nie mogę się doczekać, żeby zostać dziadkiem – rzekł dziwnie spokojnym głosem, kojarzącym się z panem Rogersem z telewizji.

Margo była najmłodszym z jego dzieci i pierwszym, które miało dziecko, co nie umknęło jej uwadze.

– Może to będzie chłopiec i zostanie w przyszłości wrestlerem? – zasugerował Jinx.

Margo od razu poczuła się okropnie z powodu niskiego wzrostu Marka. Nie zadbała nawet o to, żeby znaleźć sobie

do prokreacji dużego, niezbyt rozgarniętego siłacza; sparowała się z drobnym, pozbawionym moralności dziwakiem. Jinx elegancko wypełnił słowami pauzę.

– Nie wiedziałem, że masz faceta – powiedział.

– Właściwie nie mam – odparła.

– Och, nie szkodzi, Margo. Wydaje mi się, że dasz sobie radę.

Od tamtej pory nie rozmawiali. Teraz wybrała jego numer w telefonie.

– Boję się – wyrzuciła z siebie, gdy tylko odebrał.

– O, cześć.

Jego głos brzmiał dziwnie.

Wtem usłyszała w tle kobietę. To mogła być kochanka, żona lub jedna z jego córek i Margo wiedziała, że to oznacza, iż z całą pewnością będzie się pilnował podczas tej rozmowy. Przynajmniej odebrał – pocieszała się. Widział na wyświetlaczu, że to ona, a mimo to odebrał. Można to nazwać czymś w rodzaju miłości.

Przeszła od razu do sedna.

– A co jeśli popełniam wielki błąd?

– Nie – powiedział.

Oboje wiedzieli, że to będzie najbardziej skróciwa wersja rozmowy, jaką można sobie wyobrazić. Jakby porozumiewali się za pomocą alfabetu Morse'a.

– Nie? Na pewno?

– Na sto procent.

– Okej – powiedziała.

– Okej – powtórzył.

Rozłączyli się i Margo poczuła się lepiej.

Napięcie opadało jednak powoli, nie dając uczucia satysfakcji – jak przy nalewaniu zwietrzałego piwa.

Pewnej soboty, w szóstym miesiącu ciąży, Margo pojechała z Shyanne do Goodwill, gdzie miała nadzieję znaleźć używany wózek, który nie byłby rozpaczliwie żałosny. Najbardziej marzyła o UPPAbaby, ale wózkom w ofercie Goodwill daleko było do UPPAbaby – mogła liczyć najwyżej na wózek z brązowego materiału z kwiatowym wzorem przywodzącym na myśl inną epokę albo kraj, może Związek Radziecki, noszący zaschnięte ślady po obiadkach poprzedniego dziecka, które, jak dało się wywnioskować z wyglądu płam, jadło dużo jajek.

– Mark powinien kupić wózek dla dziecka – mówiła Shyanne. – Przynajmniej tyle mógłby zrobić. Rozmawiałaś z nim w ogóle o tym?

Odkąd Shyanne pogodziła się z faktem, że Margo nie zamierza dokonać aborcji, skupiła się wyłącznie na jednej rzeczy – zdobyciu pieniędzy od Marka. Każda rozmowa schodziła na temat tego, że Margo koniecznie musi sądzić się z nim o uznanie ojcostwa i postarać się o alimenty. Shyanne była w szoku, kiedy Margo odmówiła, mówiąc, że nie chce wprowadzać chaosu w jego małżeństwo. Żona Marka nie wiedziała o ich romansie, a jemu ogromnie zależało, żeby pozostała w nieświadomości.

– Nie popełniaj tego samego błędu co ja – pouczała ją Shyanne. – Pewnie chodzi ci po głowie, że jeśli okażesz dobrą wolę i nie zniszczysz jego małżeństwa, to może, no wiesz, jakoś się między wami...

Ale Margo wcale tak nie czuła. Szczerze nie chciała już mieć nic wspólnego z Markiem.

– Nie – uparła się. – Nie będę prosić Marka o cholerny wózek.

Tyle że teraz była bliska płaczu w Goodwill, choć przecież nigdy nie przywiązywała wagi do rzeczy materialnych. Wystarczało jej w zupełności to, co dało się kupić w Targetcie albo w sklepach z artykułami użytkowymi. Czuła jednak, że jeśli los zmusi ją do używania jednego z tych brązowych wózków, które śmierdziały jak buty w szatni na kręgielni, to jej dziecko wyrośnie na człowieka plującego z okna ciężarówki i śmiejącego się z rasistowskich dowcipów. Szczególnie mówiąc, istniało całkiem duże prawdopodobieństwo, że stanie się tak niezależnie od wyboru wózka, i sama myśl o tym sprawiała, że oddech uwiązł Margo w płucach.

– Może w ogóle nie potrzebuję wózka – mruknęła. – Albo znajdę jakiś na Craigslist.

– Powiem ci, co zrobić. – Matka pokierowała ją w stronę działu ze szkłem i ceramiką, który zawsze był ulubioną sekcją Margo. – Napisz do Marka i powiedz mu...

– Nie – sprzeciwiła się Margo. – Nie wiem, jak ci to wyraźniej powiedzieć. Nigdy, przenigdy o nic nie poproszę Marka. Nigdy.

Shyanne przewróciła teatralnie oczami.

– Jeszcze się przekonamy.

– Chodźmy obejrzeć jeszcze raz ten niebieski.

– Niebieski miał pękniętą tackę na przekąski.

– Chodźmy go jeszcze raz obejrzeć – powtórzyła Margo i pociągnęła Shyanne z powrotem do wózków.

W końcu Margo stanęła w kolejce do kasy i trzydzieści minut później kupiła niebieski wózek – z głową uniesioną wysoko, z oczami rozświetlonymi dumą, której płomień czuła w sobie. Lizały ją jego błękitne języki i w tej chwili

wierzyła, że płomień ten może ją oczyścić, spalić każdą skazę, że może ją uratować.

A potem urodził się Bodhi, a Margo utknęła z nim w swoim pokoju, jakby ją w nim zamknięto i kazano jej prząść złotą nić ze słomy. Jak to robiły inne kobiety? Przesypiała najwyżej dwie godziny na raz. Jej piżamę pokrywały plamy zaschniętego mleka i resztek, które ułały się dziecku. Przestała się przebierać – po prostu wkładała swoją olbrzymią szarą bluzę, zapinała z przodu nosidełko z Bodhim i szła do Fuel Up! na rogu ulic po sok pomarańczowy i Harvest Cheddar SunChips – śniadanie, które wymyśliły z Beccą i nazwały Pomarańczowym Przysmakiem.

Po poprzedniej rozmowie z Beccą Margo wysłała do niej SMS: Postanowitام urodzić – a Becca nie odpisała. Kiedy Bodhi przyszedł na świat, wysłała jej zdjęcie. Becca napisała: Jest śliczny! Gratulacje! Jednak potem zamilkła na dobre. Nawet dziewczyny poznane jeszcze w liceum, które z godną podziwu determinacją starały się utrzymać znajomość z Margo po narodzinach Bodhiego, przynosząc jej chińskie dania na wynos i licząc na wspólne oglądanie Netflixa, nie potrafiły przymknąć oczu na to, jak bardzo dziecko uniemożliwia spędzenie z nią czasu w miłej atmosferze. Nie umiały trzymać chłopca – wyrывał im się i wyginał na wszystkie strony – więc nawet nie były w stanie pomóc Margo, kiedy brała prysznic. Wywrócił cały pojemnik jajecznego foo young, wymachując ręką, przyssany do piersi Margo. No właśnie, to druga rzecz – jej cycki były dosłownie wszędzie. Zapominała je schować i zawsze jeden z nich zwisał luzem, wyglądając jak leniwe oko, kiedy Margo akurat kończyła coś mówić albo nabierała do ust porcję jedzenia. A jej sutki

dziwnie się wydłużyły, miały chyba z półtora centymetra. To nie było fajne. Niefajnie było odwiedzać Margo i jej dziecko, więc powoli wszystkie koleżanki się wykruszyły.

Jej współlokatorki też nie okazywały wyrozumiałości w związku z nową sytuacją. Wszystkie trzy zachowywały się tak, jakby wychowywanie w domu dziecka było mniej więcej równoznaczne z trzymaniem w nim psa, czego umowa najmu zakazywała. Wydawało im się szaleństwem, że ktoś mógł chcieć mieć cały czas przy sobie rozwrzeszczane dziecko, i Margo rozumiała ich punkt widzenia, pamiętała jak przez mgłę ich stanowisko wobec tych spraw, ale nie potrafiła im wytłumaczyć zmiany, która w niej zaszła, ani wyrazić swoich oczekiwań wobec nich.

Pewnego razu Bodhi zbudził się w środku nocy i nie mógł przestać płakać, a Margo nie miała pojęcia dlaczego. Robiła wszystko – zmieniała mu pieluchę, nakarmiła go, odbiła. Ale on cały czas przeżył plecy i wydawał przenikliwe wrzaski przypominające skrzek wściekłego orła. Próbowwała wepchnąć mu pierś do ust, lecz tylko odwracał twarz i krzyczał dalej.

Kat Większa zaczęła walić w ścianę.

– Ucis� go wreszcie!

– Myślisz, że nie zrobiłabym tego, gdybym wiedziała jak?!
– krzyknęła Margo.

Usłyszała, że Kat Większa czymś rzuciła – sądząc po łoskocie, była to książka, a może budzik, w każdym razie coś w miarę ciężkiego.

– Co mam, kurwa, zrobić? – wrzasnęła Margo.

– Wyjdź z nim na dwór! – ryknęła Kat Większa.

Po chwili Margo usłyszała tupanie, a potem współlokatorka znalazła się w jej pokoju i strzelała słowami szybko jak licytator.

– Nie wiem, jak możesz uważać, że to jest w porządku, to kompletnie nie do przyjęcia, ciebie popierdoliło, myślisz, że jutro nie mam nic do roboty, mam egzamin z biochemii i nigdy nie zrozumiesz, ile mnie może kosztować ta nieprzespana noc, nigdy tego nie zrozumiesz, więc jeśli nie umiesz go uciszyć, to wynieś go na dwór!

Kat Mniejsza pojawiła się za nią w drzwiach.

– Mogłybyście być ciszej? – zapytała.

– Jest druga w nocy, a ty wyrzucasz mnie i trzytygodniowe dziecko z mieszkania?

Margo poczuła cudowne, rozlewające się po organizmie ciepło wściekłości. Nie wiedziała, że właśnie tego potrzebuje – konfrontacji. Kipiała złością – była zła już od wielu tygodni. Na Marka za to, że zrobił jej dziecko, a także za to, że miał rację, mówiąc, jakie trudne jest wychowanie dzieci, więc nie powinna go mieć, oraz na Shyanne za to, że nie pomagała jej trochę bardziej, i za to, że ona też nie myliła się, twierdząc, że ta decyzja zrukuje jej życie. Jej życie faktycznie było w rozsypce. Już się rozsypało. Od czterech dni nie brała prysznic, a kiedy już sobie na to pozwalała, nie miała innego wyjścia, niż położyć Bodhiego na macie łazienkowej i pozwolić mu płakać. Mówiła do niego i śpiewała mu piosenki, myjąc włosy i ciało tak szybko, jak umiała. Dlaczego, u licha, to robiła? Przytłaczały ją rozmiary własnej głupoty, jej ogrom. I cierpiała przy tym, bo kochała Bodhiego bardziej niż cokolwiek lub kogokolwiek w życiu i za nic w świecie nie oddałaby go nikomu.

– Pierdolcie się – warknęła Margo. – Mogłybyście mi pomóc. Mogłybyście wykazać się podstawową ludzką przyzwoitością.

– O czym ty mówisz?! – oburzyła się Kat Większa, gestykulując rękami w ciemnym pokoju. – Odwaliło ci? To twoje

dziecko! Twoja odpowiedzialność! Nie moja! Moją jest zdanie egzaminu z biochemii!

– Wydaje mi się... – zaczęła Kat Mniejsza wysokim, łagodnym głosem – że Margo ma na myśli...

– Dobrze – weszła jej w słowo Margo. – Wyjdę. – Przyjęła sobie nosidełko z Bodhim i włożyła mu czapeczkę na głowę. – Zadowolone?

– Tak! – odpowiedziała Kat Większa. – Bo teraz będę mogła zasnąć!

– Margo... – zakwiliła Kat Mniejsza, ale nie dodała nic więcej.

Margo trzasnęła drzwiami i zbiegła w podskokach po zewnętrznych schodach. Zwykle przerażało ją wchodzenie i schodzenie po nich z Bodhim, bo była pewna, że się poślizgnie, upadnie i zmiażdży go swoim ogromnym ciałem (bardzo wyraźnie odczuwała różnicę ich rozmiarów; Bodhi w wieku trzech tygodni był zaledwie wielkości małego kota), ale tym razem gniew dodał jej zwinności – niczego się nie bała. Znalazłszy się na ciemnej ulicy, zachwyciła się pięknem nocy. Powietrze było rześkie, nie zimne. Wszedł księżyc. Margo ruszyła w kierunku samochodu, nie wiedząc, co innego zrobić. Bodhi, ukołyszany jej krokiem, uspokoił się i wtulił w nosidełko. Margo widziała, że już niewiele brakuje, by zasnął. Rozejrzała się po chodniku. Była cudowna noc. Paliły się latarnie i mogła czuć się względnie bezpiecznie, o ile nie oddali się od swojego małego osiedla i nie zbliży za bardzo do autostrady.

Spacerowała ponad godzinę po Fullerton, rozmyślając o wszystkim, co się stało – o serii decyzji, które doprowadziły ją do tego momentu, oraz o ich znaczeniu. Jak bardzo przydałoby jej się teraz trochę życzliwości, którą tak nie-

chętnie jej okazywano. Jak cennym darem było dla niej to dziecko i jak prozaiczne i irytujące wydawało się ono innym.

Margo czuła się obolała, ciekająca i taka zwyczajnie śmiertelna, a jednak silniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Opcja, by paść na ziemię i porządnie się wypłakać, już znajdowała się poza jej zasięgiem. Teraz musiała iść naprzód, mijając w ciemności krzewy róż i krasnale ogrodowe, z dzieckiem śpiącym na jej piersi, zastanawiając się, czy już może bezpiecznie wrócić do domu.